

Ajent policyjny.

Powieść na tle stosunków amerykańskich.

Przełożył z angielskiego Joter.

3

Ciąg dalszy.

— Pan jesteś winny!

— Jaki pani ma w tem interes, że się pani o tem chce dowiedzieć, pytam się pani raz jeszcze!

— Dlaczegoż miałabym panu dłużej to ukrywać? — odparło młode dziewczę — Jestem agentką policyjną i obserwuję pana już od kilku dni. Polecono mi odzyskać papiery wartościowe, które zostały skradzione firmie Morton i Spółka.

— Papiery wartościowe, które zostały skradzione firmie Morton i Ska, to znaczy naszej firmie? — powtórzył Henryk, jakby zbudzony ze snu.

— Tak jest!

— Wielki Boże! Więc firma została okradzona?

— Tak jest!

— Ciekawa rzecz, że ja nic o tem nie wiem! — zawołał młody człowiek z najniewinniejszą miną na świecie.

Uśmiech okraślił usta przebranej kobiety. Obserwowała ona Henryka przeszywającym wzrokiem i wiedziała teraz, że się nie myliła, przypuszczając, iż on nie jest złodziejem. Ale równocześnie obudziło się w niej inne podejrzenie.

— Tak jest! — powtórzyła. — Skradziono firmie z głównej kasy obligacje, wartości pół miliona dolarów, prawdopodobnie w chwili, kiedy kasa była otwarta, a nikt na nią nie zwracał uwagi. Inaczej sobie tego wytłumaczyć nie można. Za złodzieja uważają pana i dlatego jesteś pan od kilku tygodni pod dozorem.

— Wielki Boże! Czyż to możliwe?

— Tak jest! A teraz pozwól mi pan powiedzieć sobie, co ja wnioskuje z pańskiego zachowania się: Pan coś zawiniłeś, ale z tą pospolitą kradzieżą nie masz pan nic wspólnego.

Henryk Wilbert patrzył na nią ciągle, jak człowiek, który nie rozumie. Potem ozwał się, prosząc:

— Niech mi pani wszystko opowie!

— Nie, nie; naprzód niech mi pan opowie swoją winę, a potem usłyszysz pan, co ja mam do powiedzenia.

Henryk Wilbert wpatrzył się w młodego Francuza, nic nie mówiąc.

— Nie mam żadnych złych zamiarów wobec pana — ciągnęła dalej Marya. — Możesz się pan wyratować tylko przez to, że mi pan zupełnie zaufasz; wierz mi pan, ja chcę panu dopomóc.

Henryk Wilbert był energicznym, zawsze na sobie polegającym człowiekiem, ale w ogniu tych jasnych, siwych oczu, które na nim tak badać, a z taką życzliwością spoczęły, czuł się jakby pozbawiony własnej woli i jakby czemś skrępowany.

Po chwili ozwała się Marya Golling raz jeszcze:

— Powiedz mi pan, coś pan zrobił, żeś pan taki rozstrojony! Powiedz mi pan szczerą prawdę; będziesz pan wyratowany, ale nie możesz pan niczego, absolutnie niczego przemilczeć.

Po chwili wahania wybuchnął Henryk:

— Stara, stara to historia!

— Słownie, więc opowiedz mi pan tę starą historię, może to uratuje pana i pańską matkę!

Słowo „matka” poruszyło w sercu Henryka najczulsze struny i zmiękczyło go odrazu tak, jak nic innego nie byłoby w stanie go zmiękczyć, zaczął więc:

— Pewnego dnia przyszedł do mnie jeden z moich przyjaciół — zrozpaczony — potrzebował mi było na gwałt dwieście dolarów — prosił, bym ja mu je pożyczył — a ja ich także nie miałem.

— Ah! Widzę już! — szepnęła Marya Golling.

— Przyjaciół mój był zaręczony. Znałem jego narzeczoną, kochałem jego i ją, jak własne dziecko.

— I przychyliłeś się pan do prośby przyjaciela, pożyczając mu to, co do pana nie należało? — spytała Marya z boleścią w łagodnych, siwych oczach.

— Nie usłuchałem odrazu — ciągnął dalej Henryk swoje opowiadanie. — Uległem dopiero wtedy, kiedy mnie zapewnił, że mi będzie mógł po ośmiu dniach zwrócić te pieniądze — miał wtedy otrzymać swoją gażę, ale właśnie potrzebował pieniędzy na gwałt dla ratowania honoru — zresztą była w to wmieszana idziewczyna. — Miałem pod

sobą pieniądze, o których wiedziałem, że zażądają ich odemnie dopiero po tygodniach, może po miesiącach nawet. Minęło kilka tygodni — przyjaciół mój nie pokazał się. Pobiegłem do jego narzeczonej — dowiedziałem się, że znikł, jak kamień w wodzie.

— To znaczy, że pan wzięłeś firmie dwieście dolarów, inaczej mówiąc, jesteś jej pan winien dwieście dolarów — skinęła głową Marya.

— Gdybyż to tylko dwieście dolarów! — jęknął Henryk zrozpaczony.

— Ileż więc?

— Blisko trzy tysiące!

— Skądże suma ta tak urosła, przecież pan pożyczyleś przyjacielowi tylko dwieście dolarów!

— Od zniknięcia mego przyjaciela upłynęło czternaście dni. Szalałem prawie z trwogi, obawiając się wykrzycia. Zawsze szedłem wcześniej do domu, zaraz po godzinach urzędowych. Teraz jednak nie miałem ani spokoju, ani spoczynku. Całe noce spędzałem poza domem. Pewnego razu — wszedłem z jednym z przygodnych znajomych do jaskini gry —

— Ach, tak! — szepnęła Marya.

— Widziałem, że wygrywano tam znaczne sumy. Jak błyskawica przebiegł mnie jakiś dziwny prąd. Może i ja wygram — pomyślałem — a wtedy będę mógł firmie zwrócić to, co jej zabrałem. Może sobie pani wyobrazić, co potem nastąpiło. Przegrywałem ciągle i to coraz więcej. Dzisiaj wieczór widziałam pani, jak po raz ostatni próbowałem szczęścia. Straciłem ostatnie pieniądze, które zabrałem ze stojącej przedemną kasy, aby nimi mógł zarobić tyle, żeby zwrócić wszystko, co wzięłem firmie. Zdecydowałem się więc umrzeć.

— A ja pana wyratowałam.

— Uratowała mnie pani od śmierci, ale czy pani ocali mój honor?

— Potrafię i to.

— Kimże pani jesteś, pytam raz jeszcze?

— Ach, i ja bym mogła powiedzieć, że to stara, stara historia! Pochodzę z ubogiej rodziny urzędniczej, jestem sama na świecie, musiałam więc sama, nie chcąc umrzeć z głodu, zarabiać sobie na chleb. W nieszcześciu zwróciłam się do pewnego starego przyjaciela moich wcześniej zmarłych rodziców, do pewnego urzędnika policyi. On odkrył we mnie talent do zawodu, w jakim teraz pracuję, do zawodu tajnej agentki policyjnej. My, kobiety, w wielu wypadkach oddajemy policyi nieocenione przysługi. Czasami wzdrygam się sama ze wstydu przed moim zawodem, potem jednakże zwycięża i bierze górę dumna świadomość tego, iż jestem dla społeczeństwa pożyteczną i że mu oddaję przysługi wedle sił moich. Wprawdzie tęsknię czasami za spokojem, za ciszą, za kobiecym szczęściem, ale jestem biedna — muszę pracować, a w żadnym innym zawodzie nie mogłabym tak dobrze służyć społeczeństwu, jak w tym. Uczciwym i dobrym można zostać w każdym zawodzie — jeśli się swoje obowiązki wypełnia, czuje się zawsze zadowolenie wewnętrzne.

— Ależ przecież pani wystawia się na najrozmaitsze niebezpieczeństwa w każdym kierunku — ozwał się Henryk.

— To też zabezpieczam się zawsze! Bronić się potrafię! — odparła z pewnością siebie.

— Naprzykład, jakby się pani była potrafiła obronić, gdybym panią dziś w nocy rzucił był do wody? — zapytał prawie szyderczo, rzucając miłosierdem okiem na słabą jej postać.

— O, gdybyś pan był zbrodniarzem, a ja miałam tylko jeden cel na oku, mianowicie uratowanie własnego życia, byłabym się w jednej chwili potrafiła uwolnić od pana.

— Odemnie?

Podniósł w górę swe muskularne ramiona, jakby jej chciał pokazać swoją siłę.

— Tak jest, od pana! — uśmiechnęła się.

— Możeby mi pani powiedziała, w jaki sposób?

Przebrana kobieta podniosła ręce do góry, tak samo, jak on to przedtem uczynił; szybkim ruchem musiała nacisnąć jakąś tajemną sprężynę — Henryk nie wiedział, jak się to stało — ale zobaczył, że z pod pach wyskoczyły jej nagle dwa noże na sześć cali długie noże, podobne do sztyletów.

Głosem prawie zupełnie zmienionym ozwała się surowo:

— Mogłabym była jeden z tych nożów wbić panu w samo serce, zanimbyś pan miał czas zbliżyć się ku mnie. Ja się nie boję nikogo!

— Chciałabym panią zobaczyć raz we właściwej postaci! — zawołał mimowoli.

— Nie wiem, czy się to kiedy stanie. Jednak, słuchajże pan teraz —

I opowiedziała mu to, co wiedziała o skradzionych papierach wartościowych.

— A więc ja jestem podejrzany! — rzekł, kiedy skończyła. — Teraz rozumiem, dlaczego Robertson tak pilnie mnie teraz obserwuje.

— Więc to Robertson pana szczególnie obserwował?

— Tak jest. I dlatego myślałem, że on wie o mojej defraudacji. Nie przeczuwałem przecie nawet, że zostały skradzione papiery wartościowe.

Marya Golling zatopiła się przez chwilę w myślach. Potem spytała nagle:

— Panie Wilbert, czy pan jesteś odważny?

— Tak sądzę, chociaż w ostatnich czasach odwaga mnie trochę zawiodła.

— Gdyby panu dano pieniądze, które pan jesteś winien firmie, czy miałbyś pan odwagę w poczuciu własnej niewinności wystawić się na ciężką próbę, dla dobrego celu?

— Nie rozumiem pani.

Powtórzyła mu to, co powiedziała.

— Jako niewinny mógłbym znieść wszystko.

— Zdecydowałbyś się pan przez pewien czas uchodzić za złodzieja, gdybym pana zapewniła, że pańską niewinność udowodnię?

— Zdecyduję się.

— Przez to złodziej nabierze pewności, a ja zyskam czas, aby zebrać obciążające a pewne dowody.

— Więc pani ma kogoś w podejrzeniu?

— Tak jest.

— A kogo?

— W naszym zawodzie nie mamy zwyczaju zwierzać się z naszymi tajemnicami przed nikim, dopóki nie doprowadzimy do skutku naszego dzieła. Pozwól mi pan sobie tylko powiedzieć, że ja już dużo rzeczy odkryłam, że rzeczywisty złodziej rozpiął koło pana sieć, w którą byś pan był wpadł, gdybym ja z góry nie była wyszła z tego założenia, iż pan jesteś niewinny i nie była sobie postanowiła pana ratować.

— Gdyby nie pani — rzekł z wyrazem bezmiernej wdzięczności — leżałbym teraz na dnie rzeki.

— A w jej falach byłaby zatonała pamięć o panu, jako też zacne imię pańskiej matki.

— O, niech mi pani o matce nie mówi! Wzdrygam się na samą myśl o tem, co by się z nami obojga stało, gdyby nie pani.

— Nie mówmy o tem na razie! Niech pan rano jak zwykle idzie jutro do banku, a około drugiej niech mnie pan czeka przed bankiem. Wtedy będziesz pan mógł znowu nosić głowę do góry, jak dawniej.

Chciał ją uściskać za rękę, ale mu nie pozwoliła, tylko wskazała ręką drzwi.

Jak oszołomiony Henryk wyszedł do domu. Chciał się jeszcze o tyle, tyle rzeczy zapytać, ale wstrzymała go wrodzona mu delikatność.

Na drugi dzień stał Wilbert przy swoim biurku, kiedy do banku przyszła pani Brown. Zaczekała w kantorze, aż ją portyer zameldował Mortonowi.

Kiedy weszła do jego gabinetu, zamknęła odrazu za sobą drzwi.

— No cóż? — zapytał Morton zaciekawiony.

— Posunęłam się w tej sprawie bardzo daleko naprzód i wiem już, że pańskie pierwotne przypuszczenie jest prawdziwe. W sprawę tę wmieszana jest kobieta.

— Znalazła ją pani? — spytał Morton napreżony.

— Tak mi się zdaje.

— Młoda czy stara?

— No, nie najmłodsza już.

— Cóż to za jedna?

— Tego panu nie mogę powiedzieć, dopóki się nie dowiem dalszych szczegółów. Mogę pana tylko co do jednej sprawy zapewnić, a mianowicie, że papiery jeszcze nie są w obiegu.

— Wprowadza mnie pani w najwyższe zdumienie!

— W najbliższym czasie zdziwisz się pan jeszcze bardziej co do wielu rzeczy — jednak, nie mam już czasu. Spiesz mi się. Mam panu przedłożyć przekaz.

Marya Golling podała bankierowi bilet, napisany doń przez dyrektora Junga.

Franciszek Morton zaczął czytać, ale w trakcie tego czoło coraz bardziej mu się zasępiało.

Dyrektor Jung prosił bankiera, aby tenże wypłacił Maryi Golling jako zaliczkę ewentualnej nagrody 3.000 dolarów. Dyrektor, człowiek wcale bogaty, prosił, aby te trzy tysiące dolarów Morton uważał za udzieloną jemu pożyczkę, którą